

Alain Besançon: Francuskie złudzenia

Wielka Wojna położyła kres licznym złudzeniom. Francja wierzyła ze wszystkich sił, że Rosja „wytrzyma”. Była gotowa ustąpić jej we wszystkim. Gdyby Rosja wytrzymała kilka miesięcy dłużej, otrzymałaby prawo do zachowania Polski, dodania kawałka Niemiec, krótko mówiąc do takiego powiększenia swojej strefy wpływów, do jakiego doszło w 1945 roku. Miała też wziąć Konstantynopol, aby zaspokoić swoje wielowiekowe ambicje. Jednakże rozpadła się, pogrążając również oszczędności Francuzów. Nie byli tym zachwyceni – pisał Alain Besançon w „Świętej Rusi”.

Francuskie złudzenia na temat Rosji są dwojakie. Nawiązują do dwóch głównych nurtów rosyjskiej świadomości: słowianofilskiego lub okcydentalistycznego

Pierwszy rodzaj złudzeń dotyczy europeizacji i modernizacji Rosji. Swoje źródła ma w stuleciu XVIII i wyrósł na krytyce francuskiego *ancien régime'u*. Głosi pochwałę oświeconego despotyzmu petersburskich cesarzy, przymykając chętnie oczy na pierwiastek despotyczny, niezwykle natomiast serio traktując oświecone projekty. Katarzyna zrobiła wszystko, co leżało w jej mocy, aby wspierać prorosyjskie ciągoty francuskiego stronnictwa filozoficznego. Włożyła

w to wiele sprytu, czaru i pieniędzy. To pierwsze złudzenie nie wytrzymało w starciu z bliższym poznaniem Rosji. Wystarczająco dużo żołnierzy przeżyło Berezynę, aby móc następnie opowiadać swoje wrażenia na temat kraju i jego mieszkańców. Francuska opinia publiczna, a zwłaszcza jej liberalna część, wpadła w gniew przeciwko Mikołajowi I. To nastawienie emocjonalne można nazwać „momentem Custine’a”. Zasłona została zdarta, kłamstwo zdemaskowane. Michelet wołał oburzony: „Rosja jest kłamstwem. Jest nim we wspólnocie, w fałszywej wspólnocie. W szlachcicu, popie i carze. (...) Kłamstwo nad kłamstwa, największe ze wszystkich kłamstw, które jest ukoronowaniem pozostałych. Crescendo kłamstw, pozorów i iluzji”. Pisał też:

Tendencją takiego państwa jest stawanie się w coraz mniejszym stopniu państwem, w coraz zaś większym religią. W Rosji wszystko ma wymiar religijny. Wszystko jest lub chce być święte. (...) Zdumiewający zamiar! Nie potraficie u siebie zorganizować zwykłego, przyziemnego porządku prawnego! A pretendujecie do wyższego świata religii. Wrogowie Prawa chcą wznieść się wyżej niż Prawo, ich celem jest świat Łaski! Skoro jesteście bezsilni wobec człowieka, rościcie sobie miano Bogów.

Intuicja Micheleta jest głęboka i stanowi dobrą syntezę mojego poglądu. W 1840 roku, tak jak później w 1956, zdawano sobie sprawę ze sztuczności całego przedsięwzięcia i z nierealności postępu. Budzono się ze snu i kłamstwo zostawało zdemaskowane. Wojna krymska nie była niepopularna: była rodzajem rewanżu. Jednak „moment Custine’a” nie trwał długo. Nadszedł czas sojuszu z Rosją, który starano się nawiązać od chwili naszej klęski w 1870 roku, a który stał się rzeczywistością przez serię coraz bardziej szczegółowych traktatów

podpisywanych począwszy od lat osiemdziesiątych. Republika wchodziła w alians z caratem i kompromitowała się, wiążąc się z systemem będącym jej najbardziej radykalnym przeciwieństwem. Nie uczyniła tego oczywiście bez pewnych skrupułów, ale generalnie francuski patriotyzm akceptował ten sojusz, widząc w nim zabezpieczenie przed Cesarstwem Niemieckim i gwarancję pokoju.

Tak zwany sojusz „de revers”, czyli oskrzydający wroga od tyłu, stał się dogmatem Quai d’Orsay, dogmatem trwałym, który odżywał w czasach Herriota, Laval’a, de Gaulle’a i który nie jest całkiem martwy chyba i dziś. Sojusz wojskowy cieszy się sporą popularnością, o czym może świadczyć wielka uroczystość, jaką przygotowano na przyjęcie rosyjskiej eskadry w Tulonie. To sprzymierzenie nie było jednak darmowe. Rosja głęboko nadwyreżyła francuski budżet. Słynne „rosyjskie pożyczki” nie były irracjonalne same w sobie. Gospodarka tego kraju rozwijała się szybko i taka inwestycja wydawała się równie obiecująca jak każda inna. Władze francuskie miały również nadzieję, że Rosjanie skorzystają z tego, aby zmodernizować swoje wojsko i zbudować linie kolejowe, które ułatwiłyby transport wojsk w kierunku granicy niemieckiej. Trzeba było ciągle wkładać rękę do kieszeni, aby utrzymać ten sojusz, który – ze strony rosyjskiej – wciąż trzeszczał. Stawka nie była nieopłacalna: armia rosyjska stawiała czoła wrogowi w latach 1914–1917. Banki sprzedawały rosyjskie pożyczki publiczności francuskiej. Podtrzymywano w tym celu postępowy obraz Rosji. Rosyjskie służby specjalne ze swojej strony subwencjonowały gazety i korumpowały dziennikarzy.

Odwiedź Księgarnię Teologii Politycznej!

Nie wszystkich zachwycał ten stan rzeczy. Republikańskie, liberalne, a zwłaszcza socjalistyczne sumienia były poruszone niezliczonymi świadectwami na temat prawdziwej sytuacji w Rosji, które stamtąd nadchodziły. Wiedziano (jeżeli chciano wiedzieć), kim byli „kozacy” oraz co to jest „więzienie narodów”. Inteligentni obserwatorzy ze wszystkich partii przeczuwali, dokąd zaprowadzi nas ten sojusz francusko-rosyjski: na wojnę. W tym okresie przymusowego zbliżenia i dobrowolnych iluzji opublikowano również, jakby w celu kompensacji, poważne i pozbawione emocji badania o Rosji, dotyczące jej historii i kultury. To był pierwszy i przez długi czas jedyny taki moment. W Sankt Petersburgu działał Instytut Francuski, gdzie pracowali młodzi naukowcy, dobrze znający język rosyjski, uczyli się tam metodologii pracy historyka. Byli dzięki temu zdolni do czytania i tłumaczenia kronik oraz zrozumienia myślicieli. Arcydzieło nie wyszło jednak spod pióra naukowca, lecz stworzył je Anatole Leroy-Beaulieu, człowiek wywodzący się z bogatego mieszczaństwa katolickiego i liberalnego. Jego trzypięciotomowe opracowanie *Imperium carów i Rosjanie*, napisane w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku w duchu Tocqueville’a i Taine’a, jest najmądrzejszym i najbardziej zrównoważonym dziełem, jakie kiedykolwiek napisano o Rosji. Udało mi się z największą trudnością doprowadzić do jego reedycji ze wspaniałym wstępem Marca Raeffa, lecz nie sprzedawało się ono zbyt dobrze.

Wielka Wojna położyła kres licznym złudzeniom. Francja wierzyła we wszystkich sił, że Rosja „wytrzyma”. Była gotowa ustąpić jej we wszystkim. Gdyby Rosja wytrzymała kilka miesięcy dłużej, otrzymałaby – na podstawie traktatów zawartych z Francją – prawo do zachowania Polski, dodania kawałka Niemiec, krótko mówiąc do takiego powiększenia swojej strefy wpływów, do jakiego doszło w 1945 roku.

Miała też wziąć Konstantynopol, aby zaspokoić swoje wielowiekowe ambicje. Jednakże rozpadła się, pograżając również oszczędności Francuzów. Nie byli tym zachwyceni.

2

W 1917 na Wschodzie zajaśniała wielka zorza. Uwiedzenie części Francuzów przez komunizm jest zjawiskiem o nieporównywalnej wadze wobec wyżej opisanych złudzeń. Komunizm był ruchem globalnym. Trudno mieć pretensje do Francuzów, że dali się uwieść propagandzie systematycznej, prowadzonej w metodyczny sposób na skalę dotąd nienotowaną. Cała Europa poddała się jej wpływowi. Władza sowiecka wychowała „misjonarzy” i rozesłała ich po całym świecie. Było ich wiele tysięcy: zorganizowanych, wyposażonych w odpowiednie środki finansowe, potrafiących posłużyć się tym typem komunistycznego kłamstwa, o którym już pisałem. Okazało się to skuteczne i trudne do zdemaskowania.

Natężenie wpływów komunistycznych nie rozkładało się równo. W Anglii, Ameryce i Japonii ograniczało się do aparatu, który wegetował i któremu nie udało się zyskać na sile ani na prestiżu. Klasa robotnicza, stanowiąca pierwszy cel oddziaływania, nie poddała mu się. Była od dawna zorganizowana w silne związki zawodowe, które nie pozwoliły się uwieść. Podobnie sprawy miały się w Niemczech, gdzie wciąż dominowała socjaldemokracja, oraz w Hiszpanii z jej silnymi partiami anarchistycznymi. Na wzrost popularności komunizmu we Włoszech trzeba było czekać do upadku faszyzmu.

Tymczasem we Francji lat trzydziestych partia komunistyczna miała prawdziwą bazę robotniczą. Był to skutek słabości związków zawodowych, którym w XIX wieku nie udało się stworzyć organizacji zdolnej do formowania swoich członków w duchu prawdziwych wartości syndykalnych. Rewolucja francuska poprzez zniesienie cechów i korporacji zniszczyła historyczną bazę kultury robotniczej, która przetrwała w Anglii i w Niemczech, rozwijając się w masowe związki zawodowe. Ich miejsce zajął „duch rewolucyjny”, nastroje barykadowe karmiące się wielkimi wspomnieniami roku 1793, 1848 i 1871. Kierowała nimi zasada „walki klas”.

Poza światem robotniczym ogromna większość członków lewicy kojarzyła rewolucję rosyjską (to jest przejęcie władzy przez sektę bolszewików) z rewolucją francuską. Tutaj znajduje się klucz do sukcesu rosyjskiej idei komunistycznej we Francji. Rewolucja francuska traktowana *en bloc* (Clemenceau) była wciąż przywoływaną sentymentalną podstawą republikańskiej prawomocności. Sympatia dla ZSRR zanurzała przeto swoje korzenie w wydarzeniu francuskim. Nacjoniści francuscy cieszyli się, że nasza rewolucja odnalazła przedłużenie i dowód swojego uniwersalizmu w rewolucji rosyjskiej. Jeśli przyjąć, że Rosjanie nie tylko wzięli przykład z naszej rewolucji, ale ją dokończyli, pozostawało tylko zostać komunistą. Nasza rewolucja pozostała niedokończona, Rosjanie doprowadzili ją do logicznego końca. To właśnie starał się udowodnić Mathiez i jego następcy z Katedry Historii Rewolucji Francuskiej na Sorbonie.

Wydawało się to tym bardziej wiarygodne, że Lenin wciąż odwoływał się do naszej rewolucji. Nie do roku 1789, a więc epizodu „burżuazyjnego”, lecz do momentu jakobińskiego, czyli utopijnego i

krwawego. Lenin kochał krew i uważał, że nie ma nic piękniejszego niż „bezłitosne represje”. Przemyślawszy przyczyny upadku Robespierre’a, doszedł do wniosku, że przyczyną było zachowanie własności prywatnej i brak zdyscyplinowanej partii uzbrojonej w ideologię. Miał rację. Natychmiast zniósł własność prywatną, utrzymał jedność partii wokół marksizmu-leninizmu w postaci skamieniałego dogmatu. Jego władza przetrwała.

Księgarnia Teologii Politycznej: Alain Besancon, *Współczesne problemy religijne*

Gdy komunizm zaczął łączyć się z rosyjskim nacjonalizmem – a nastąpiło to wcześniej, można powiedzieć, że od wojny przeciwko Polsce w roku 1920 – bycie komunistą we Francji stało się mentalną przeprowadzką do innej ojczyzny, do utopii budowanej w kraju Sowietów. Jednakże we Francji komuniści mogli szczerze odpierać oskarżenia, że są – jak to określał Guy Mollet – „cudzoziemskimi nacjonalistami”. Ze względu na domniemaną ciągłość obydwu rewolucji mogli uważać się za gorliwych i konsekwentnych patriotów. Ich bezwarunkowy nacjonalizm sowiecki wzbudzał u nich nowy rodzaj nacjonalizmu francuskiego o fundamencie terrorystycznym, który nosili w sobie na równi z szowinizmem i ksenofobią.

Także inna, bardziej elitarna część społeczeństwa francuskiego fascynowała się ZSRR ze względów, które nie miały nic wspólnego z komunizmem. Chodziło o ideę planu, koncepcję racjonalnej organizacji przemysłu, rolnictwa i całej gospodarki. (Najpierw nazwałem ją „rosyjską”, może to jednak błąd i powinienem użyć słowa „francuska”. Ale skoro tego nie wiadomo, sędzę, że można z powodzeniem zostawić

ją bez niczego). Fascynacja Gosplanem nawiązywała do osiemnastowiecznego rosyjskiego złudzenia, mirażu „rozumu” zapisującego nowy tekst na białej karcie. Raymond Aron zwykł mówić, że gdyby istniała jakaś „ideologia francuska”, byłoby nią saint-simonowskie marzenie o społeczeństwie racjonalnym; marzenie, którego korzenie sięgają Colberta czy nawet Kartezjusza. To środowisko, bardzo pragnące popchnąć Francję w kierunku nowoczesności i z trudem znoszące nasze zacofanie i złe nawyki, było skłonne dać wiarę tej części propagandy, która celebrowała dziesięcioprocentowy wzrost gospodarki sowieckiej, piękno kołchozów, niesamowite wynalazki i odkrycia naukowe. Wierzono w nią dość powszechnie na Sciences-Po. Trzeba jeszcze dodać spontaniczną sympatię naszych etatystycznych doktrynerów dla państwa, które uważali za analogiczne do swojego.

4

Kościół katolicki we Francji niechętnie przyjął nowoczesny ład społeczny. Nie miał szczęścia w polityce i republika trzymała go z dala od władzy. Był za to głęboko społeczny. To właśnie na jego łonie rozwinęły się pierwsze wersje socjalizmu. Pragnął więcej sprawiedliwości, więcej równości, więcej braterstwa. Świat gospodarki rynkowej, indywidualizmu i przedsiębiorczości pozostawał mu obcy. Nie znosił podstawowego mechanizmu nowej ekonomii, schumpeteriańskiego „twórczego zniszczenia”, zjawiska istotnie brutalnego i okrutnego. Zakłada ono konieczność wykluczenia z gry tych jednostek, których jest zbyt wiele i których praca nie jest opłacalna. Ma to służyć temu, aby przedsiębiorstwa mogły wykazywać zysk i inwestować. Nagle powiedziano, że istnieje społeczeństwo alternatywne. Nie ma tam bezrobocia i obowiązuje znakomite

ustawodawstwo socjalne. Zamiast indywidualizmu jest współpraca, dzielenie trudów i solidarność. Dla środowisk katolickich kuszące było uwierzenie w podstawowe kłamstwo komunizmu, to znaczy w to, że stworzył on społeczeństwo i zaczął realizować swą utopię. Oczywiście, to „społeczeństwo” nie było doskonałe. Gdyby zaakceptowało wolność praktyk religijnych i nauczania chrześcijańskiego, zrobiłoby wielki krok naprzód. I wtedy, być może, gdyby zezwoliło na religię – i dlaczegoż na nią nie zezwalało? – to społeczeństwo należałoby uważać za strukturalnie lepsze i potencjalnie bardziej sprawiedliwe niż społeczeństwo kapitalistyczne, podporządkowane kultowi pieniądza, konsumpcji, indywidualizmowi i w sposób definitywny materialistyczne. Kto wie, może między społeczeństwem kapitalistycznym a społeczeństwem socjalistycznym istnieje jakaś „trzecia droga” warta zbadania? Takie poglądy kwitły wśród części kleru i stały się pożywką dla postępowego chrześcijaństwa.

Popularność ideologii komunistycznej we Francji oraz równoczesna sympatia dla Rosji sowieckiej zakładały podtrzymywanie nieznamomości realiów rosyjskich. Aby ulec pokusom, które opisałem, trzeba było stać się głuchym i ślepym, zamknąć się na wiedzę i otworzyć na wymyślone wizje podsuwane przez rosyjskie kłamstwo komunistyczne. Pierwsza demaskacja tego, co działo się w latach 1917–1918, doskonały reportaż z pierwszej ręki o koszmarach niedawnej rewolucji, ukazał się w dzienniku „L’Humanité” mniej więcej w tym samym czasie. Nie przyniósł zbyt dużych efektów, sądząc po dalszym rozwoju sytuacji. Solidna praca badawcza nad Rosją sowiecką doszła do skutku, ale w Ameryce i dopiero w latach pięćdziesiątych. We Francji marginalizowano ją. Nauczanie uniwersyteckie i szkolne było

złagodzoną wersją propagandy sowieckiej. Wstyd, uprzejmość, poprawność, pamięć wielkiego sojuszu wojennego doradzały nieposuwanie się dalej.

A jednak ten potężny gmach iluzji i złudzeń był zaminowany. Pękł w roku 1956. Kruszył się następnie stopniowo, we Francji wolniej niż gdzie indziej. W 1989 roku zawalił się definitywnie.

6

W wyżej opisaney historii miłość do Rosji pochodziła z rozumu. Czy był to pociąg do wyższości oświeconego absolutyzmu (w czasach Ludwika XVI), czy wiara w spełnioną już obietnicę zbudowania nowego świata rządzonego przez rozsądek i sprawiedliwość (jak pisano w czasach Frontu Ludowego i po wojnie), źródłem miłości był rozum. Trzeba więc było dbać o to, aby kłamstwo potiomkinowskie czasów carskich i następnie kłamstwo komunistyczne skonstruować tak, by w fasadzie nie pozostała najmniejsza szparka. Nie można było dopuścić, aby ktoś zobaczył, jak naprawdę wygląda rzeczywistość. Francuz odwiedzający ZSRR podróżował wzdłuż starannie wyznaczonych szlaków, wszystkie kontakty dyplomatów były śledzone i kontrolowane. Kiedy ich nie było, sowieckie służby specjalne podstawiały wyszkolone osoby w celu zaaranżowania przyjaźni lub skandalizującej miłości. Rozum łatwiej wprowadzić w błąd, gdy jest poruszony sympatią. Ale na ogół wystarczały mu sfalszowane dowody.

W historii, do której teraz przejdziemy, miłość pochodziła z s e r c a. Czarowi uległy inne środowiska. To lewica chętnie nadstawiała ucha w stronę wyrafinowanej rosyjskiej propagandy słynnych „osiągnięć”. Ulegali też często naukowcy – wskutek swojego humanizmu, zaufania do rozumu, niezdolności wyobrażenia sobie tak monstrualnego kłamstwa, możliwości tak dogłębnego fałszowania wskaźników. Bolszewizm zawsze chroniło samo jego nieprawdopodobieństwo. Teraz kolej na prawicę, która dawała się uwieść przez uczucie: przez sympatię pochodzącą z serca.

Wewnątrz środowisk prawicowych to reakcyoniści chętnie zwracali się po 1815 roku w stronę Rosji. Cała Europa parła ku parlamentaryzmowi, ku demokracji. Rosja nie. Pośród zachodniego chaosu wydawała się filarem starego porządku. Dlatego właśnie wrogi kapitalizmowi niemiecki tradycjonalista baron Haxthausen odkrył istnienie wspólnoty chłopskiej, na której narodnicy rewolucjoniści zbudowali swoją utopię, a którą natychmiast przywłaszczyli sobie prawicowi słowianofile jako najcenniejszy skarb narodowy. Co ciekawe, współcześni wrogowie demokracji odnajdowali pewne elementy pozytywne nawet wewnątrz żelaznego porządku bolszewickiego. Tam przynajmniej istnieje posłuszeństwo, tam nie ma strajków. Skoro upadło francuskie imperium kolonialne, niektórzy spoglądali z zazdrością na imperium sowieckie. Tamci przynajmniej zachowali kolonie. Niektórym podobała się rewolucyjna zasada ruchu, inni cenili sobie rosyjskie przywiązanie do pasywności. Europejska dyplomacja widziała w państwie Breżniewa gwaranta światowego *status quo*, co dla dyplomaty jest ideałem stosunków zagranicznych.

Ale to nie tamta zimna, pozbawiona emocji prawica zapalała szczerą miłością do Rosji. Sympatia uczuciowa do tego kraju ma rozmaite źródła i przyczyny. Jest skomplikowana, potężna i trwała. Nie domaga się cyfr. Nie ma żadnego znaczenia to, czy wierzy się w nie i w te wszystkie wielkie osiągnięcia. Ona pogardza trywialnymi sprawami. Chodzi bowiem o miłość ogólną i złożoną, której treść trzeba odszyfrować.

Rosyjski urok zaczął oddziaływać pod koniec XIX wieku. Tartarin de Tarascon wpadł w sidła młodej, tajemniczej i wyniosłej Rosjanki. Okazuje się, że ona jest rewolucjonistką, ale nie to interesuje Alphonse'a Daudeta, lecz po prostu egzotyzm tej niedostępnej i zimnej osoby, jakże przygniatająco odmiennej od pocziwego bohatera: tłuściutkiego, prostackiego i pachnącego czosnkiem.

Księgarnia Teologii Politycznej: Alain Besancon, *Święta Rus'*

Do Francji dotarł również balet rosyjski. Wzbudził entuzjazm, gdyż publiczności wydawało się, że przenosi się ją do jakiegoś innego, magicznego świata. To nie było do końca prawdą. Balet rosyjski wyrósł w Sankt Petersburgu z płodnego ziarna zasianego tam przez Francuską Szkołę Choreografii. Marius Petipa miał niezwykle zdolnych uczniów, którzy zręcznie i oryginalnie rozwinęli ten gatunek sztuki. Dekoracje i kostiumy zostały zaprojektowane przez takich malarzy jak Bakst, znakomicie wykształcony Żyd petersburski, absolwent Szkoły Sztuk Pięknych w Paryżu, lub Alexandre Benois, malarz krynolin i ogrodów wersalskich. Paryż przeglądał się w lustrze, ale nie rozpoznawał sam

siebie, czuł się przeniesiony na Dzikie Wschód, do najbliższej Tartarii, nie zdając sobie sprawy, że balet ów był pięknym kwiatem rosyjskiej europeizacji. Wiązało się to z potrzebą inności.

Francuzi dużo podróżowali. Turystów zachwycał Kreml i jego cerkwie; nie wiedzieli, że zostały one zbudowane przez włoskich rzemieślników, mury zaś zaprojektowane na wzór mediolańskiego Castello Sforzesco. Mikołaj I kazał dobudować małe, fantazyjne wieżyczki, aby nadać tym obwarowaniom bardziej rosyjski charakter. Zadziwiały przyjezdnych pałace Sankt Petersburga, wzniesione przez architektów włoskich, francuskich, szkockich, którzy mogli tam wyciągnąć z teczek projekty niemożliwe do zrealizowania w swoich krajach. Te monumenty zapisywane są na konto rosyjskie, co było zgodne z zamierzeniami carów-zleceniodawców, a także korzystne dla komunistów, którzy chcieli ogrzewać się w ich chwale i w tym celu je utrzymywali.

W tamtej epoce Rosja stała się częścią *koinè* sztuki europejskiej. Pragnęła być głównym jej centrum. Stała się nim, co też natychmiast zostało uznane. W epoce burzenia tradycyjnych kanonów artystycznych bycie w awangardzie pozwalało najszybciej zapewnić sobie godne miejsce. Awangarda rosyjska rozwijała się szybciej niż gdziekolwiek indziej. Futuryzm, kubizm i abstrakcjonizm zrobiły tam furorę w ciągu kilku lat. Kandinsky i Malewicz stworzyli swój styl jeszcze przed wojną i rewolucją. Nic dziwnego, że zainteresowało się tym malarstwo francuskie, skoro to ono w sumie było pierwszym nauczycielem tego ruchu. Organizowano wystawy w Moskwie i Petersburgu aż do chwili, gdy nacjonalistyczne uczucia kazały oceniać, że od rosyjskiego malarstwa nie można już niczego więcej się nauczyć. Było to w tym samym czasie, gdy Rosja – cierpiąca na deficyt malarstwa – odkrywała swoje ikony. Gatunek ten był martwy od XVII wieku. Uważano je za

przedmioty kultu. Odczepiano od nich rzy, metalowe nakrycia, które przykrywały wszystko prócz twarzy i rąk, tak poczerniałych od świec, że były ledwo widzialne. Restaurowano je i przemaalowywano. Znani twórcy Zachodu, na pierwszym miejscu Matisse, głosili, że to wielkie malarstwo, nawiązujące do włoskich geniuszy dojrzałego średniowiecza, sztuki bizantyjskiej i wielkiej, wspólnej tradycji. Sukces tego rodzaju sztuki religijnej był tym większy, że sztuka katolicka stawała się coraz mniej zdolna do oddania przekonywującego wizerunku Chrystusa, Matki Boskiej i świętych. Dlatego właśnie we francuskich kościołach można dziś oglądać niezliczoną ilość reprodukcji ikon, powieszonych wbrew stylowi narodowemu, wzbudzając czasami fascynację duchowością rosyjską.

Wszystko to jak dotąd jest całkiem w porządku. Było rzeczą całkowicie naturalną, że Francuzi chcieli poznać bogactwa Rosji, jej sztukę, talenty i wspaniałych muzyków. Przynosi nam zaszczyt, że potrafiliśmy ich docenić. Wydawało się nam, że cywilizacja europejska wzbogaciła się o nową prowincję. Jednakże pojawienie się Rosji przy tym wspólnym ognisku przemycalo ze sobą także inną rzecz: ideę słowianofilską, która była radykalnie przeciwna Europie i odmawiała Rosji europeizacji.

Nacjonalizm rosyjski jest zaraźliwy, gdyż ma charakter religijny. Dusze religijne zwróciły się w stronę Rosji, gdyż czuły się uciskane przez sceptyczną i pozytywistyczną Francję, a religia katolicka taka, jaką praktykowano we Francji, nie zadowalała ich.

Sygnalem do startu dla francuskiego słowianofilstwa była opublikowana w 1886 roku *Powieść rosyjska* Eugène'a-Melchiora de Vogüé. Spowodowała ona ogromną falę tłumaczeń z rosyjskiego. Do tamtej pory niemal tylko Mérimée interesował się literaturą rosyjską. Przetłumaczył trochę Puszkina. Teraz cały Tołstoj, Dostojewski, Turgieniew, Leskow, Gonczarow, Korolenko, Gorki, krótko mówiąc całość klasycznej literatury rosyjskiej została masowo wydana w ciągu kilku lat w porządnym przekładach. Pojawiły się powieści w stylu Tołstoja (np. *Martina du Garda*), a Dostojewski gruntownie przeorał nasze rozumienie filozofii i literatury. Faktem jest, że literaturę rosyjską tłumaczono od tamtej pory na francuski bardziej gruntownie niż niemiecką, włoską i hiszpańską.

Vogüé był młodym dyplomatą, który przez dłuższy czas przebywał na placówce w Petersburgu. Zaczął uczyć się rosyjskiego, co nie było w tym zawodzie absolutnie konieczne. Poślubił nawet z wielką pompą, w Pałacu Zimowym, w obecności rodziny carskiej, jedną z dam dworu cesarzowej.

Celem Vogüé nie było poszerzenie spektrum naszej literatury, lecz jej krytyka. Miał do niej pretensje głównie o brak ducha chrześcijańskiego. Stendhalowi, Balzacowi, Flaubertowi obce było to ewangeliczne współczucie, które ożywiało literaturę angielską, a które jeszcze bardziej osobliwym światłem błyszczy w literaturze rosyjskiej. Nasze powieści były brutalne, nasz realizm stał się obcy najbardziej wyrafinowanej dziedzinie ducha ludzkiego, nasz naturalizm osuwał się po równi pochyłej ku wulgaryzmowi i plugawości.

Vogüé reprezentował kontrtendencję spirytualistyczną francuskiej mentalności, która rozwijała się od czasu końca epoki Renana-Taine'a aż do lat dwudziestych poprzedniego stulecia. Odnajdował on w „duszy rosyjskiej” (to prawdopodobnie Vogüé był autorem tego sformułowania) kierunek i przykład do naśladowania. Ten „dodatek w postaci duszy”, jakiego Francja potrzebowała, znajdował się właśnie w Rosji, „we współczuciu oczyszczonym ze wszystkich elementów nieczystych i wzbogaconym o duch ewangeliczny”. Powieść rosyjska została źle przyjęta przez krytykę w Rosji, lecz w 1889 roku dała autorowi miejsce w Akademii Francuskiej.

Tak zwany srebrny wiek był ostatnim wybuchem rosyjskiego życia intelektualnego w dwudziestoleciu poprzedzającym I wojnę światową. Stał w opozycji do złotego wieku, czyli okresu puszkiniowskiego. Puszkini i jego epoka nawiązywali do oświecenia. Srebrny wiek był burzliwym wybuchem symbolizmu, apokaliptyczności, estetyzmu, irracjonalizmu. Jest w nim wszystko: duch rewolucyjny i radykalna krytyka idei rewolucji. Duch religijny był wszechobecny w każdej możliwej postaci, od dogmatycznego ateizmu aż do religii wschodnich. Poważne rozważania nad teologią chrześcijańską pasjonowały świeckich intelektualistów i – jak zawsze – towarzyszyła im refleksja na temat przeznaczenia Rosji.

Przedstawię teraz dwa przykłady słowianofilstwa francuskiego u dwóch ludzi powszechnie podziwianych za swoją postawę moralną i intelektualną.

Pierre Pascal, syn profesora licealnego z Clermont-Ferrand, dostał się na studia do paryskiej École Normale Supérieure i uzyskał dyplom z filologii klasycznej. Był gorliwym katolikiem i pozostał nim przez całe życie. Podczas wojny, po tym jak został ranny na froncie dardanelskim, uczyniono go członkiem francuskiej misji wojskowej przy carze. Młody porucznik był już zakochany w Rosji i dobrze znał rosyjski. Kiedy wybuchła rewolucja, pomyślał, że właśnie spełniają się jego marzenia. Zdezerterował i pozostał w Rosji. Powrócił z niej w 1933 roku wraz ze znakomitą pracą doktorską, którą obronił we Francji, pt.: *Awwakum i początki Raskołu*. Został profesorem na Sorbonie i był wielce szanowanym mistrzem całego pokolenia sławistów. W 1970 roku, w wieku osiemdziesięciu lat, udzielił obszernego wywiadu, w którym powiedział wszystko, co miał do powiedzenia.

Celem misji wojskowej, w której uczestniczył, było przekonanie Rosji do dalszego prowadzenia wojny. On sam był jej zdecydowanym przeciwnikiem. Nie mógł zatem sympatyzować z kadetami i ich przywódcą Miliukowem, którzy chcieli kontynuować wysiłek wojenny, a po upadku caratu (w lutym 1917) przekształcić Rosję w republikę parlamentarną na wzór europejski. Jego zdaniem nie byłaby to dla Rosji rzecz pożądana. Zaakceptował Lenina i jego program natychmiastowego pokoju, podobnie jak słynny *Rozkaz numer jeden*, nakazujący rozwiązanie armii, postawienie oficerów na równi z żołnierzami i usunięcie stopni wojskowych. Nie zaskoczyły go również pucz z października 1917 roku i rozwiązanie Konstytuanty. Z całego serca popierał zniesienie własności prywatnej. Program absolutnej równości, proklamowanie „pokoju światu” (*mir miru*) spełniały, jego zdaniem, głębokie ideały narodu rosyjskiego, czyli ideał ewangelicznego chrześcijaństwa, którym w jego mniemaniu był on przesiąknięty. Wierzył, że z „przewrócenia porządku burżuazyjnego”

powstanie nowy, lepszy, sprawiedliwszy „twór społeczny”. Takie były jego marzenia, jak również poetów, których podziwiał: Jesienina, Biełego i Aleksandra Błoka. Słynny wiersz tego ostatniego, *Dwunastu*, gdzie pojawia się Jezus Chrystus na czele zatrważającego pochodu Gwardii Czerwonej, bez przerwy cytował.

W strasznych latach komunizmu wojennego Pascal jak inni cierpiał z braku podstawowych rzeczy, z zimna i głodu, lecz nie narzekał. Przeciwnie, kiedy w 1921 roku po doprowadzeniu do śmierci 15 milionów ludzi bolszewicy pozwolili wykrwawionemu krajowi odetchnąć przez kilka lat NEP-u, Pascal tęsknił za komunizmem wojennym. Uznał, że jego marzenie się nie spełniło. Wielu utopistów popełniło wtedy samobójstwo, on chciał pójść ich śladem.

Pascal nie był bolszewikiem sensu stricto, gdyż nie akceptował ideologii „materialistycznej”. Patrząc wstecz z perspektywy roku 1970, określał się raczej jako „lewak”. Piastował jednak funkcje, które pozwalały mu się stykać z przywódcami: Łunaczarskim, Bucharinem (którego szanował), Zinowiewem (którego nie szanował). Podziwiał Lenina, gdyż uważał go za postać głęboko rosyjską, bliską aspiracjom ludu. Wprowadzenie NEP-u tłumaczył sobie jego kompetencjami ekonomicznymi. Nie lubił natomiast Trockiego, którego uważał za zbyt zokcydentalizowanego.

Po 1922 roku rewolucja przestała go interesować. Państwo sowieckie stało się jego zdaniem „państwem jak każde inne”. Służył mu jednak. Usunął się na margines, codziennie chodził na mszę do francuskiego kościoła św. Ludwika, skupiał się na erudycyjnych badaniach. Przywiązał się do postaci Awwakuma, archidiakona raskolnickiego z

XVII wieku, którego wraz z jego uczniami spalono na stosie, uprzednio wyrwawszy język, za cara Aleksego Michałowicza. Pozostawił po sobie fascynującą autobiografię, którą Pascal świetnie przetłumaczył. Awwakum, jego zdaniem, wyznacza moment zerwania pomiędzy tradycyjną religią ludu rosyjskiego a oficjalnymi jej formami narzuconymi przez petersburskich cesarzy. Interesował go buntownik czy też raczej świadek (męczennik). Czytałem rozprawę Pascala i *Żywot Awwakuma*. Ten protopop był z całą pewnością potężną osobowością. Sądzę, że reprezentuje pewien typ dawnego chrześcijaństwa, w stylu archeobizantyjskim czy też merowińskim, jak byśmy to określili. Nie przeszkadza to Pascalowi w porównywaniu go do naszych jansenistów. Osobiście nie wyobrażam sobie nieposkromionego, prawdopodobnie brodatego protopopa, jak przechadza się w Port-Royal u boku Arnauda d'Andilly'ego i Nicole'a. Obaj panowie byliby nieco zaskoczeni.

Znałem i lubiłem Pierre'a Pascala – zarówno za jego głęboką wiedzę, jak i za jego łagodność i spokojną dobroć. Zarzucałem mu tylko jedno. Podczas gdy jego przyjaciel Borys Suwarin, Żyd z Odessy i założyciel Francuskiej Partii Komunistycznej, po zerwaniu z nią nie przestawał demaskować kłamstwa bolszewickiego, analizować go w sposób nadzwyczaj spostrzegawczy i wojowniczy, on, Pascal, świadek tylu koszmarów, milczał. Znał prawdę i nie wypowiedział jej.

Jednakże czytając długi wywiad z nim, doszedłem do wniosku, że nigdy jej nie znał. Miał marzenie, które się nie spełniło. Przyjął to do wiadomości, lecz nigdy nie wyparł się go ani nie skrytykował. Wokół niego rozstrzeliwano, umierano z głodu, pakowano do więzień; nigdy nie zaprotestował. Nawet przeciwko delegalizacji Cerkwi i wszystkich

innych Kościołów. Wierzył, że rewolucja zrodzi nowy lud boży: najpierw w Rosji a potem na całym świecie. To było warte przymknięcia oczu.

Składniki tego marzenia dają się dość dobrze dostrzec. Na samym początku było Clermont-Ferrand i zawężone, zdyscyplinowane, małoduszne, hierarchiczne życie Francji prowincjonalnej sprzed roku 1914. Następnie ta głupia i nieznośna wojna. Potem Pascal zakochał się w Rosji, w jej chłopskim ludzie tak dalekim od pełnych hipokryzji zwyczajów francuskich. Miał przed sobą ludzi żyjących we wspólnocie i niewiedzących, co to własność. Ludzi dobrych, szczerych, hojnych, wręcz – na swój inny, lepszy sposób – cywilizowanych. Kiedy ten lud powstał i rozlał wokół siebie natychmiast morze krwi, Pascal wciąż patrzył na niego jak na ten, przez który miał nadejść Chrystus. Przejął w ten sposób poglądy słowianofilów i Dostojewskiego. Kochał naród rosyjski przez całe swoje życie, lecz nie jego przywódców, gdyż uważał, że są „tacy jak wszędzie”. Oznaczało to, że nie znał komunizmu, odmawiał widzenia go takim, jakim był naprawdę, oraz zrozumienia jego natury. Był niczym słowianofile, którzy kontemplowali z dala swoich poddanych chłopów w idealnym świetle, nie chcąc zauważyć realiów rządów Mikołaja I i tego, co wyczyniał z Rosją. Tkwiła w Pascalu nuta milenaryzmu i chrześcijańskiego anarchizmu. Zafiksował się na narodzie rosyjskim jak na idolu do tego stopnia, że kiedy nadeszła katastrofa, kiedy marzenie rozplynęło się na jego oczach, nie dostrzegł dość widocznej przecież różnicy między Leninem, Stalinem i „zachodnimi przywódcami”. Nie zauważył nawet, że ten chłopski lud, który tak kochał, został unicestwiony przez swoich przywódców „takich jak wszędzie” i że przestał istnieć. Pierre Pascal odszedł od świata, ale nie podniósł się, nie dał świadectwa, tak jak to był uczynił Awwakum z właściwą sobie gwałtownością.

Francuzi szukali „dodatku w postaci duszy” nie tylko w Rosji. Innym takim miejscem była przez długi czas Hiszpania. To Hiszpanię czynili Francuzi w swoich sztukach teatralnych sceną rozgrywania wielkich namiętności i wzniosłych uczuć, gdy nie wydawały się one wiarygodne w scenerii naszych łagodnych wzniesień. Wystarczy wymienić *Cyda*, *Don Juana*, *Hernani*, *Carmen*, *Atlasowy trzewiczek*... W naszych czasach jednak, poza kilkoma „hiszpankami” w stylu Malraux czy Montherlanta, zawsze Rosja okazywała się silniejszym polem magnetycznym.

Teraz drugi przypadek. Dogłębnie i erudycyjnie przestudiował go Bernard Marchadier. Prześlę krok po kroku jego tok rozumowania.

Paryż stał się artystyczną i intelektualną stolicą rosyjskiej emigracji. Lenin wpadł w 1922 roku na pomysł, aby pozwolić wypłynąć z Rosji statkowi pełnemu znanych myślicieli. Byli tam Bierdiajew, Łoski i wielu innych. Dołączyli do nich Mereżkowski, Hippius, Bułgakow i Szestow, czyli kwiat rosyjskiej myśli religijnej. Osiedlili się oni w Paryżu i założyli szkołę. W ostatnich latach władzy carskiej filozofia religijna rozwijała się niezwykle intensywnie i nabyła solidnej kultury teologicznej, opartej na greckich Ojcach Kościoła i na tradycji bizantyjskiej. Ich mistrzem czy też raczej najważniejszym punktem odniesienia był zmarły w 1900 roku Władimir Sołowjow. Był on z pewnością wielkim filozofem i teologiem. Pod pewnymi względami można go porównywać z Newmanem. Myśl katolicka tamtych czasów nie wychodziła poza obręb tradycji augustyńskiej i tomistycznej. Kiedy przybyli Rosjanie i otworzyli przed nami – niczym Trzej Królowie – swoje skarby, było to dla nas, Francuzów, jak okno, za którym rozpościerał się całkiem nowy pejzaż.

Maritain przybył w 1931 roku na jedną z debat francusko-rosyjskich. Wcześniej zebrał dość poważny bagaż doświadczeń filozoficznych i politycznych. Wyszedł od Akcji Francuskiej, następnie przeżył fascynację Bergsonem, napisał o Kartezjuszu rozprawę tyle błyskotliwą, co niszczącą i znalazł w końcu zakorzenienie w myśli św. Tomasza, Jana od św. Tomasza, św. Jana od Krzyża. Nie był związany intelektualnie z Rosją, lecz miał z nią powiązania uczuciowe: ze względu na żonę Raisę i szwagierkę Wierę, rosyjskie Żydówki z Rostowa nad Donem, które choć od dawna były obywatelkami francuskimi i nawróciły się na katolicyzm, zachowały sentyment do młodości i pierwszej ojczyzny. Podczas tej dyskusji w 1931 roku Maritain wystąpił z wściekłym atakiem na kartezjanizm, ten „wielki francuski grzech”. „Myśl Descartesa jest – jak twierdził – autentyczną filozofią mieszczańską; ten człowiek był przodkiem czy też raczej prekursorem francuskiej burżuazji, która uczyniła z przezorności cnotę wyższą od mądrości, tej francuskiej burżuazji, dla której Duch Święty jest hipotezą”. Co ciekawe, Kartezjusza w obronę wziął profesor rosyjski.

Intelektualny wpływ filozofii rosyjskiej na Maritaina był słaby, podobnie zresztą jak na Gilsona, który jednak znał rosyjski i interesował się tym krajem. Maritainem, czy to z powodu żony, czy z charakteru, kierował swego rodzaju tropizm skierowany w stronę spraw rosyjskich. Bierdiajew zauważa: „Lubił Rosjan, wolał ich od Francuzów. Sam przypominał rosyjskiego intelektualistę, a jego dom różnił się od normalnego francuskiego domu”. Według Stanisława Fumeta „Maritain darzył Rosjan sympatią od najmłodszych lat”. W każdym razie dom w Meudon był na sposób rosyjski ciepły i gościnny, bez względu na status społeczny, narodowość czy wyznanie przybysza. Wokół samowaru – obsługiwanego przez matkę Raisy – toczyły się długie, ciepłe i przyjazne rozmowy, którym nie nadawano nigdy sztywnego porządku.

Przybywający tam Rosjanie spotykali się z serdecznym przyjęciem i rodzinną atmosferą przypominającą krużok, czyli „kółko” niekończących się dyskusji przy herbacie – podstawowej instytucji rosyjskiej inteligencji od lat czterdziestych XIX wieku. Bernard Marchadier zastanawia się nawet, czy ślub czystości złożony przez małżeństwo Maritainów nie ma w sobie czegoś z rosyjskiego *fin de siècle'u*. Tak samo w przypadku Łosiewów, Mereżkowskich i Bierdiajewów. Pozostawiamy tę kwestię otwartą.

Maritain, sam pochodzący z solidnej rodziny mieszczańskiej, nienawidził „ducha burżuazyjnego”. Jego ojczymem był Léon Bloy, niezmordowany pamphlecionista mieszczan, wyzywający ich bez przerwy od świni. Jak zauważa Marchadier, Maritain nigdy nigdzie nie osiadł: był profesorem bez katedry, mnichem bez klasztoru, małżonkiem bez potomstwa, wiedzionym wciąż przez przypadek między Meudon, Princeton, Rzymem i Tulużą. Można powiedzieć, że naśladował rosyjskich emigrantów swoich czasów. Niechęć do mentalności mieszczańskiej to w katolicyzmie francuskim zjawisko dość powszechne, od Barbeya d'Aurevilly'go aż do Bernanosa, i wciąż jest silnym stereotypem.

Maritain zaliczał się do wewnątrzkościelnych reformatorów. Należał do tej potężnej falangi (razem z Lubakiem, Congarem, Bouyerem, Gilsonem, Journetem...), która pragnęła *aggiornamento* Kościoła rzymskiego. Przygotowali Sobór Watykański II, z pasją śledzili jego przebieg, cierpieli z powodu jego porażek, protestowali przeciwko skręcaniu w niewłaściwą stronę. Był reformatorem, gdyż z trudem znosił dyscyplinę, rygory, skostniałość strukturalną Kościoła

potrydenckiego. Uważał, że źródła zła tkwią w czasach konstantyńskich. Niedługo przed swoją śmiercią – chcąc bronić prawdziwego sensu soboru – pisał:

Tak naprawdę, to wszystkie ślady Świętego Cesarstwa zostały już zlikwidowane; definitywnie wyszliśmy z epoki sakralnej, z baroku; po szesnastu wiekach rozpoczyna się nowa era, w której Kościół zaprasza nas do lepszego zrozumienia dobroci i człowieczeństwa Boga, naszego Ojca. (...) Dokonuje się wielki przewrót, w wyniku którego to już nie ludzie będą bronili sfery sacrum, lecz sfera sacrum stanie w obronie ludzkości (jeżeli ona sama nie odrzuci tego daru). Kościół zerwał więzi, które miały go wspierać, uwolnił się od ciężarów, jakie miały lepiej wyposażyć go do realizacji dzieła zbawienia.

Maritainowi nie podobała się ani szarość życia katolickiego, ani przesady chrześcijaństwa ludowego, ani poparcie Kościoła dla reżimów autorytarnych. Mogłyby go pociągać rosyjski mesjanizm religijny, mistycyzm rosyjski i „rosyjska dusza”. Albo nowy mesjanizm komunistyczny. Bierdiajew twierdził, że Trzecia Międzynarodówka nie ma w sobie nic międzynarodowego, lecz wyraża rosyjską ideę narodową, ten sam świecki mesjanizm. Sam Bierdiajew przyłączył się do niego pod koniec życia. Uważał, że zasługą komunizmu było przynajmniej to, że przeszkodził w grożącej Rosji ewolucji w kierunku europejskim, burżuazyjnym, liberalnym, kapitalistycznym. Wystąpił o wydanie sowieckiego paszportu. Maritainowi udało się nie ulec tej pokusie.

Jego największym szczęściem było to, że wojnę spędził w USA. Tam pozbył się większości z prześladujących go chimer. Większą sympatię wzbudził w nim amerykański *Manifest Destiny* niż rosyjski. Niemniej w październiku 1944 roku pisarz i malarz Józef Czapski napisał list do Maritaina i François Mauriaca. Czapskiemu udało się uniknąć Katynia i przemierzał sowieckie łągry w celu zorganizowania ratunku dla polskich zesłańców, aby mogli opuścić ZSRR i stworzyć armię polską na wygnaniu. W swoim liście wzywał dwóch znanych francuskich pisarzy do publicznej interwencji i poinformowania opinii publicznej o losie Polski oraz Warszawy, która – po zrównaniu jej z ziemią przez Wehrmacht – została wydana, podobnie jak cały kraj, wojskom sowieckim. Maritain, przed wojną głośno zabierający głos w sprawie bombardowań Guerniki, teraz milczał.

Rok później, w 1945, Maritain – będący wówczas ambasadorem przy Stolicy Apostolskiej – wytłumaczył Czapskiemu powód swojego milczenia: „Musiałem być surowy dla Polski (...) nie potrafiłem wybaczyć jej antysemityzmu i postawy względem Rosji. Uważacie, że macie misję do wypełnienia na Wschodzie, sądzicie, że jesteście przedmurzem chrześcijaństwa, uważając jednocześnie Rosjan za podludzi, gardzicie nimi głęboko”. Trudno wyobrazić sobie bardziej niesprawiedliwe słowa niż ta tyrada pod adresem Czapskiego. Ów wielki Polak nigdy nie żywił podobnych uczuć, co musi stwierdzić każdy czytelnik jego dzieła *Na nieludzkiej ziemi*. Maritain powinien był sobie przypomnieć, że rodzina Raisy uciekła przed pogromami z Rosji.

Polski katolicyzm, podszyty silnym duchem trydenckim, klerykalnym i patriotycznym, nie mógł budzić jego zachwyty. On szukał „nowego chrześcijaństwa”, „nowego ognia”, „nowej ery”, „ery Ducha”, jak to

pisano w czasopiśmie o tym samym tytule, które okazało się tak mało odporne na wpływy komunizmu. Sam Maritain im nie uległ. Uważał jednak, podobnie jak jego żona, że pod lodem sowietyzmu nadal płynie nurt duchowości – rezerwa łaski dla chrześcijaństwa przyszłości. We Włoszech Maritain zaprzyjaźnił się blisko z Eugeniem Montinim, przyszłym Pawłem VI. To właśnie ten papież zdecydował, że podczas soboru nie będzie się mówiło o komunizmie, i to milczenie, „drugie milczenie Kościoła” (po pierwszym, w czasach nazizmu, ale jeszcze bardziej kompletne), trwało dwadzieścia lat.

Léon Bloy mawiał, że „oczekuje na Kozaków i Ducha Świętego”. Jeżeli nie oczekuje się niczego od Ducha Świętego, to można zadowolić się Kozakami.

Nasza cywilizacja wytworzyła pewien porządek, który jest znoszony z trudem. Francuzi przeszli przez surowe gimnazjum religijne, przez liceum, które jest jego odbiciem, przez służbę wojskową, gdzie traktowano ich jak niewolników. Następnie zaczęli życie zawodowe, gdzie zgodnie z tradycją traktowano ich równie źle. Przemierzali długie ścieżki kariery. Uginali się pod niezliczoną ilością rytuałów, rodzinnych, zawodowych, aż do śmierci, również regulowanej przez ściśle określoną francuską ceremonię. Także literatura była podporządkowana regułom retorycznym, których nie można tak sobie po prostu zignorować. Jeżeli ktoś należał do Kościoła katolickiego, podlegał twardej władzy kościelnej; jeżeli był urzędnikiem, postawiona nad nim hierarchia wydawała się czasami jarzmem, a dogmaty były nieubłagane precyzyjne. Całe społeczeństwo francuskie, jak i każde

inne na Zachodzie, żyło rytmem przymusów, gorsetów, rygorów i ograniczeń. Wiedziano, czy też raczej wyobrażano sobie, że „tam” żadne granice nie istnieją. Że jest tam ogromna, niedająca się kontrolować przestrzeń, step i tajga, ciągnąca się w nieskończoność. I że ludzie, którzy tam mieszkają, nie podlegają przymusom francuskiego drobnomieszczanina.

Francja napiła się krwi w czasie rewolucji i nie straciła na nią apetytu. Duch rewolucyjny przetrwał w nagiej postaci wśród ograniczonej, ale wciąż żywej części społeczeństwa. Szczególnie wśród „intelektualistów”. Ta część opinii publicznej nie popierała komunizmu mimo masakr, ale właśnie z ich powodu. Rosja, a następnie Chiny, Wietnam, Kuba, Kambodża były w ich oczach miejscami świętymi ze względu na przelaną krew. Nie należy jednak mylić idei komunistycznej z ideą rosyjską. Rosja nie odpowiada za mordercze fantazje naszych intelektualistów. W ostatnich czasach rozgrzewały im serce chińskie opowieści o „rewolucji kulturalnej” lub, jak w przypadku profesora Alaina Badiou, piękne ludobójstwa kambodżańskie.

Niedawno wydana i napisana z talentem powieść powraca do tematu rosyjskiego. Chodzi o *Limonowa Emmanuela Carrère’a*. Pisarz ten dobrze zna współczesną Rosję i jego książka może być użyteczna dla tych, którzy jej nie znają. Nie szkicuje jej obrazu na różowo, nie wymyśla, nie przenosi na papier swoich pragnień o uczynieniu jej demokracją, nawet początkującą. Jego bohaterem nie jest „dysydent” z czasów Breżniewa ani „bojownik o wolność”. Raczej wyśmiewa Siniawskich, Sacharowów, Brodskich. Uważa tych uczciwych ludzi za bufonów i głupców. Gdyby doszli do władzy, „dopiero byłaby

katastrofa”. Związek Sowiecki jest szary, ale „nie ma nic wspólnego z opisywanym przez nich obozem koncentracyjnym”. „Zachód nie jest wcale więcej wart”.

Carrère w taki sposób przedstawia Limonowa:

Opowiadał o tej epoce (Breżniewa) i o Związku Radzieckim z pełną drwiną nostalgiją, jak o rajach dla rozbisurmanionych chuliganów. Nierzadko pod koniec tej czy innej kolacji, gdy wszyscy prócz niego byli już pijani – sam ma tęgą głowę – wygłaszał pochwałę Stalina. Kładliśmy to na karb jego zamiłowania do prowokacji. Mijaliśmy go w Palace, obnoszącego z dumą bluzę oficera Armii Czerwonej. Pisywał do „l’Idiot International”, dziennika prowadzonego przez ‘czerwonego’ Jeana-Ederna Halliera, który skupiał wokół siebie błyskotliwych nonkonformistów. Miał skłonność do bijatyk i niewiarygodne powodzenie u kobiet. Jego niedbały strój i przeszłość awanturnika imponowały nam, młodym burżujom. Limonow był naszym barbarzyńcą, naszym łobuzem – uwielbialiśmy go”.

Limonow to syn kagiebisty. Carrère przedstawia go jako w sumie porządnego i niegroźnego człowieka. Był chuliganem na Ukrainie, idolem sowieckiego undergroundu, kloszardem, służącym miliardera na Manhattanie, męską prostytutką, modnym pisarzem paryskim, ochotnikiem po stronie serbskiej w czasie wojny w Bośni, przestępcą, więźniem (przez dwa lata), a dziś jest liderem grupki ultranacjonalistów.

Romantyczny topos rozbójnika jest stary i ogólnoeuropejski. Równie często korzystała z niego zarówno literatura rosyjska, jak i francuska. Limonow to nie typ szlachetnego zbójcy. Carrère'owi podoba się raczej to, że jest rzezimieszkiem. Stara się od niego zdystansować, ale w wygodnym i przytulnym otoczeniu bogatych dzielnic Paryża taka postać musi budzić ekscytację, wyzwalać poczucie kontrastu, przedstawiać „prawdziwe życie”: ciężkie, męczące i amoralne. Każe marzyć o ogromnych przestrzeniach rosyjskich i ich wielkim chaosie. Duch buntu i nihilizm godzą dawną i obecną Rosję.

Carrère kończy swoją książkę barwną prozopopeją prezydenta Putina:

Komunizm dokonał rzeczy straszliwych, zgoda, ale to nie było to samo, co nazizm. To porównanie, które zdaniem zachodnich intelektualistów samo się nasuwa, tak naprawdę jest haniebnie. Komunizm był czymś wielkim, heroicznym, pięknym, czymś co budziło zaufanie i dawało nadzieję ludziom. Była w nim pewna niewinność, toteż w bezlitosnym świecie, który po nim nastąpił, każdy niewyraźnie wiąże go z czasami swojego dzieciństwa i z tym, co doprowadza nas do łez, gdy dopadają nas dziecięce wspomnienia.

Ten politycznie poprawny fragment osłania Carrère'a przed posądzeniem o grzech „komparacjonizmu”. Do tych elokwentnych słów można by dopasować inne, równie elokwentne, które przed wojną opisywały „wielki, heroiczny i piękny” element w faszyzmie i nazizmie. Czuło się tam tę samą egzaltację innym światem i to samo niecierpliwe pragnienie niszczenia. Drieu La Rochelle, Rebatet, Brasillach żywili

podobne emocje wobec dalekiego spektaklu ukochanego barbarzyństwa. Była to ucieczka w wyobraźni od naszej uregulowanej, duszącej i absurdalnej cywilizacji. Paryskie środowisko literackie przygotowuje się na odświeżające nadejście łobuzów ze Wschodu. Przybywajcie, Kozacy!

Tak właśnie Francja wyobraża sobie Rosję. Podziwia ją to rozumowo, to na sposób religijny; Rosja ją pociąga, gdy widzi w niej wzór cywilizacji, ale jeszcze bardziej, gdy marzy jej się „zdziczenie”. Rosja lubi tę grę i ją podtrzymuje, na przemian jawiąc się jako święta, „scytyjska”, konserwatywna, rewolucyjna. Francuskie pasje nie pozwalają ujrzeć jej taką, jaka jest. Nie ma żadnego powodu do bycia rusofilem ani rusofobem. Nie jestem ani jednym, ani drugim. Denerwują mnie za to nasza łatwowierność, naiwność i ignorancja. Należałoby powrócić do stanu równowagi, który kiedyś zdołał osiągnąć Anatole Leroy-Beaulieu, ale to wymaga wysiłku. Życzeniem Marksa w 1857 roku było, aby wyjść ze sfery wierzeń do sfery faktów. Dzisiaj jest to także moje życzenie.

*Rozdział „Francuskie złudzenia” z książki „Święta Ruś”
Alaina Besançon (wersja bez przypisów).*